

# PODNIĘĆ ŻYCIE Z RUIN

**Wojska sowieckie wkroczyły 17 stycznia do całkowicie wyludnionej Warszawy. W ciągu kilku dni linia frontu przesunęła się na zachód, omijając Szeligi. Byliśmy, z moim mężem [Stanisławem Żarynem] i teściem, świadkami wkraczania armii sowieckiej na nasze tereny, obserwując reakcję mieszkańców. Staliśmy przy szosie na Ożarów w zupełnym milczeniu. [...] Pod zimowym niebem przed naszymi oczami przesunął się film czarno-biały, nie budząc żadnych uczuć – ani wrogości, ani szczęścia. Jakże inaczej by to było, gdyby wkraçały do Warszawy wojska alianckie z Zachodu...**

W Szeligach i w okolicy nie było już śladu wojsk niemieckich. To nowe wojsko „sojusznicze” różniło się w sposób zasadniczy od poprzedniego. Żołnierze brudni, nierzadko zawszeni, wciągali słomę do salonu i walili się na nią, aby spać. Byli głodni, wyciągali, co się dało, z kuchni, spiżarni i piwnicy. Po kilku godzinach w tej części dworu, którą zajmowali, zrobiło się bardzo zimno od otwartych drzwi wejściowych. Wówczas, w poszukiwaniu ciepłego kąta, żołnierze zaczęli wchodzić do pomieszczeń, w których byliśmy wszyscy słoczeni. Z lękiem patrzyłam, jak sowiecki żołnierz ciągnie swój brudny siennik i rozkłada go koło naszego tapczanu. Nie miał on żadnych złych zamiarów, po prostu chciał się przespać w cieple, ale my nie byliśmy pewni, co nas spotka za chwilę.

To uczucie ciągłej niepewności co do losu najbliższych i zmieniające się z godziny na godzinę zachowanie naszych „sojuszników” wydaje mi się najbardziej charakterystycznym zjawiskiem w pierwszych dniach po wyzwoleniu.

Oficerowie niewiele się różnili od prostych żołnierzy. Brudni i nieogoleni snuli się po domu, nieufnie patrząc na jego mieszkańców. Zachowywali się bezceremonialnie, traktując nas chwilami jak przyjaciół i sojuszników, a za chwilę jak wrogów klasowych i podejrzanym spiskowców. Groza naszego położenia zwiększała się z upływem dnia, bo wieczorem zaczynała krążyć wódka. Oficerowie schodzili się po służbie w naszej jadalni i zapraszali na wspólny posiłek. Wódka krążyła gęsto. Nie było sposobu wymówić się od tych libacji, ponieważ każda tego rodzaju wymówka była traktowana jako wyraz pogardy „właściciela majątku” dla prostego żołnierza. Zachowania ich stawały się groźne i natarczywe. Dłoń często sięgała do broni. Do wspólnego picia zmuszali mojego chorego ojca, a nawet osiemdziesięcioletnią babcie Kazię. Tylko mama nie dała się ruszyć z łóżka, udając bardzo ciężko chorą. Oficerowie z oznakami lęku wycofywali się z jej pokoju.

Około dziesięciu kolejnych wieczorów było dla nas prawdziwym koszmarem. Przeżywałam chwile grozy, bo nigdy nie było wiadomo, czy któryś z pijanych oficerów nie zastrzeli ojca albo męża. Baliśmy się także o nasze kuchenne dziewczyny – żołnierze gonili je po ogrodzie i napastowali. Chwilami miałam wrażenie, że zamknięto mnie w klatce z dzikimi zwierzętami. Któregoś dnia pijany oficer zauważył medalik na szyi Stasia. Bezceremonialnie pociągnął za łańcuszek. Zamarłam ze strachu, ale on nagle rozplakał się pijackimi łzami, mówiąc, że jemu też matuszka taki medalik zawiesiła na szyi, gdy szedł na wojnę. „Ale ja w to nie wierzę” – dodał szybko, rozglądając się trwożnie dookoła.

Nawet wymawianie się od picia było źle widziane. „No, my wiemy – mówili oficerowie – że wy, panowie, nami gardzicie... ale my was wyzwolili, więc musicie pić z nami”. Marszczyli brwi i grozili rewolwerami, a znów za chwilę klepali nas poufale po ramieniu i pili nasze zdrowie. Staraliśmy się opuścić towarzystwo, zanim oficerowie będą zupełnie pijani, ale drzwi do naszych pokoi nie wolno było zamykać na klucz, bo to wydawało się im podejrzane. Po niespokojnych dniach przychodziły noce pełne bliżej niesprecyzowanej grozy.

Pewnego dnia po południu Staś zniknął. Nie przyszedł na obiad ani na kolację. Od żołnierzy nie można było niczego się dowiedzieć. Fornale widzieli go ostatni raz na podwórzu, kiedy jeden z oficerów kazał mu wsiąść na wóz i jechać z nim nie wiadomo dokąd. Byłam zrozpaczona, a mój mąż wrócił dopiero trzeciego dnia. Wzięli go na podwozy i kazali wieść na linię frontu. Wrócił piechotą, bo wóz mu zabrali. Żony ani nikogo nie pozwolili mu zawiadomić, bo to tajemnica wojskowa.

Tymczasem we dworze zmieniały się oddziały wojska, jedni wychodzili, a drudzy zajmowali opuszczone pokoje pełne zabrudzonej słomy. Zjawiły się też wkrótce władze ludowe. Komisarz z opaską czerwono-białą na ramieniu zwołał chłopskie zebranie w jadalni i wypytywał, czy właściciel bardzo znęcał się nad chłopami. Właściciel – babcia Kazia, prawie niewidoma – wysłuchiwał tych bredni z bladym uśmiechem na twarzy. Komisarz był niezadowolony, bo nie było skarg, a nawet czasem nieśmiałe pochwały. „Właścicielka nie biła – podsumował – ale teraz jest już inna władza, ludowa”.

Od „komisarza” zalatywało wódką. Widziałam, jak niektórzy z naszych ludzi płaszczą się przed nim i zabiegają o łaski. No cóż, mają nadzieję na ziemię, a to dla nich najważniejsze. Srodze się na tym zawiodą.

Nas traktowano nie najgorzej – byliśmy tylko krewnymi właścicielki. Sprawa uległa pogorszeniu, gdy zjawiła się komisja specjalna, która na mocy dekretu o reformie rolnej, wydanego przez bezprawną władzę PKWN, miała nam odebrać Szeligi. Z aktów, wprowadzcie nieformalnych (bo niepotwierdzonych przez notariusza), wynikało, że babcia Kazia za życia już obdarowała swoje wnuczki, każdej dając około 20 ha, i że reszta majątku była już znacznie poniżej ustanowionego limitu 50 ha, ale to nie pomogło. Komisja odrzuciła wszystkie dokumenty, a ponadto zaczęła nas wszystkich traktować jak „wrogów ludu”. W komisji brała udział jedna kobieta – brzydka i źle ubrana, choć jeszcze młoda. Miała włosy rudawe i małe biegające oczka. Wszystko, co mówiła, traktowała bardzo serio, bez najmniejszego poczucia humoru. Do mojego teścia, starszego pana o pięknych szlachetnych rysach twarzy, powiedziała: „Właściwie należałoby was wszystkich zlikwidować, ale na to nie mamy na razie dość siły”. Mój teść skłonił się jej z powagą i podziękował za szczerość. Nie rozumiała!...

Po tym przyjemnym wstępie w godzinach przedpołudniowych nastąpiła noc, którą na zawsze zapamiętam. Obudziło nas walenie do drzwi i do pokoju wszedł oddział rosyjskiej milicji NKWD w towarzystwie kompletnie pijanego „komisarza”. Komisarz rzucał się i groził, że nas zabije, jeśli nie znajdzie się ta broń, którą ukrywamy. Rozpoczęła się rewizja przy świetle chybottliwych świec i krzykach komisarza. Oficerowie NKWD, których było trzech, założyli natychmiast sąd przy stole, w pokoju, gdzie w łóżkach leżeli rodzice. Była pierwsza lub druga w nocy. Oskarżonym był mój szwagier, Władek Olizar. Mój mąż i ja zostaliśmy odizolowani od reszty rodziny i zamknięci obok w gabinecie, w którym od czasu rekwizycji innych pomieszczeń sypialiśmy z dwuletnią [córeczką] Marysią. Przez uchylone drzwi słyszeliśmy wszystko, co się działo w „sądzie”. Przewodniczył mu major i zadawał pytania cichym, jednostajnym głosem. Sprawa wydawała się beznadziejna. Pytania, a raczej półtwierdzenia, były wciąż te same: „Należałeś do AK?”, „Masz ukrytą broń?”, „Jeśli nie oddasz, to wiesz, co cię czeka”,

„I tak ją znajdziemy, więc po co zaprzeczasz”. Mój szwagier nieodmiennie odpowiadał „nie”, „jestem inwalidą”. W pokoju babci Kazimierzy odbywały się rewizje, czyli wyrzucanie wszystkich rzeczy z szaf i komody na podłogę. Co jakiś czas do pokoju, w którym siedziałam ze Stasiem, wchodził oficer NKWD, czerniawy, z orlim nosem i mówił do nas ściszym głosem: „No cóż, będę musiał was zlikwidować... tu w tej piwnicy, która jest pod wami... i was, i waszą żonę”, po czym wychodził, a nas ogarniało dziwne otepienie. Patrzyłam na Marysię, smacznie śpiącą w łóżeczku, i miałam uczucie, że świat i życie odpływają ode mnie. Nie był to strach ani bunt, tylko potworny paraliż wszystkich uczuć.

Około godziny trzeciej nad ranem usłyszeliśmy szelest odsuwanych krzeseł w pokoju rodziców i nagle zupełnie inny, dobronuduszy głos majora: „Nu, u nas ruskie przysłowie, kogo nie złapano, jak kradnie, to nie złodziej... jesteście wolni!”. Po czym „sędziowie” uściśniły dłoń „podsądnemu” i wyszli, zabierając ze sobą pijanego komisarza i ludzi, którzy mu pomagali przy rewizji. Broni nie znaleziono, bo jej nie było, ale przecież mogli ją podrzucić! Nie podrzucili...

Znaleźliśmy się sami – we czwórkę, ciasno stłoczeni w środku pokoju, niezdolni zrozumieć, co się stało i co mamy dalej robić. Kłąć się spać czy czekać na ciąg dalszy? Nagle usłyszałam za plecami trzask otwieranej papierośnicy. Ten „z orlim nosem” podszedł tak bezszelestnie, że nikt tego nie zauważył. Teraz uprzejmie częstował nas papierosem i zachęcał do pójścia spać. Rozeszliśmy się jak najszybciej. Rano moi teściowie i Stefania [szwagierka autorki] zeszli z poddasza na śniadanie. Nie wiedzieli nic o tym, co się działo na dole, ani o groźbie śmierci, która wisiała przez kilka godzin nad naszymi głowami.

Wkrótce po tym przybyła komisja ds. reformy rolnej, zawiadamiając nas, że mamy opuścić dom w ciągu najbliższych godzin. Komisarz, tym razem trzeźwy, wręczył mi szczotkę do zamiatania i kazał sprzątać pokój jadalny. Przyglądał mi się ironicznie i w końcu zawyrokował: „Nieźle wam to idzie, obywatelko!”, na co odpowiedziałam, że sprzątanie nie jest dla mnie nowością. Bardzo się zdziwił, jego pojęcia o „paniach z dworów” musiały być na poziomie Mniszkówny.

Komisja przydzieliła nam wóz na rzeczy i pozwoliła zabrać kilka łóżek i materaców dla osób ciężko chorych oraz po jednej walizce rzeczy osobistych na osobę (to samo co Niemcy w Kruchowie) [majątek w Wielkopolsce, z którego rodzina została wysiedlona przez Niemców w 1939 r.]. Nikt nas nie zapytał, czy mamy dokąd jechać, nikt nie zadbał o tzw. dach nad głową dla nas. Często myślę o tym teraz, gdy w świetle dyskusji o reprivatyzacji tyle się mówi o tym, że nie można ludzi wyrzucać z mieszkań. To prawda. Zresztą ustawa o ochronie lokatorów skutecznie ich ochroni. Niemniej jednak jedna warstwa ludzi w PRL została wyrzucona na bruk i to pomija się milczeniem, nie myśląc w ogóle o naprawieniu krzywd w wolnej Polsce, nie tylko jeśli chodzi o ziemię, ale także o domy rodzinne. Dla mnie utrata Szelig to przede wszystkim była utrata domu rodzinnego, to było ostateczne zamknięcie całego rozdziału mojego życia.

Było nas szesnaście osób: babcia, rodzice moi i rodzice Stasia, Jadwisia z mężem i trójką dzieci (najstarsze miało 5 lat), Stefania Duglasowa z małym Oskarkiem oraz my dwoje z dwoma córeczkami. Mróz był poniżej 20 stopni, a jedynym „dachem nad głową” było nasze dwupokojowe mieszkanie we Włochach, o którym nikt poza nami nie wiedział, a któ-



Szeligi, lata 40. Obecnie przebudowany na trzykondygnacyjny blok mieszkalny

re nadal wynajmowaliśmy od właściciela po wyprowadzeniu się do Szelig w 1943 r. Było to prawdziwie opatrnościowe dla nas schronienie. Mieszkała tam nasza służąca Marynia, stara, zgryźliwa, niezbyt zachwycona przybyciem szesnastu osób. Moi teściowie i Stefania z synkiem znaleźli pokój do wynajęcia u gospodarzy, a my roztasowaliśmy się w dwóch pokojach: młodzi i dzieci na podłodze, starzy i chorzy na łózkach.

Zaczął się dla nas nowy rozdział życia. Wszystko, co było przedtem, „przeminęło z wiatrem”. Warszawa leżała w gruzach. Sojusznik niszczył warstwę ludzi, do których należałam przed wojną, ich dorobek, ich kulturę. Naszym błędem było mniemanie, że celem rządu lubelskiego będzie zniszczenie tej warstwy – walka z arystokracją i ziemiaństwem. Wkrótce miało się okazać, że to jest walka z całym narodem.

Był koniec stycznia 1945 r. Wysiedleni z Szelig i pozbawieni środków do życia, musieliśmy natychmiast szukać pracy. Już na drugi dzień po wysiedleniu mój teść, mój mąż i mój szwagier wyruszyli piechotą wzdłuż torów kolejowych do Warszawy. Od ich zaradności zależały teraz losy pozostałych trzynastu osób. My dwie z Jadwisią zabrałyśmy się do sprzedawania na stacji pierogów zrobionych w domu. Z naszego sklepu w tym czasie wpływały zaledwie grosze, a dostawy z Szelig urwały się automatycznie.

Najłatwiej było znaleźć pracę Stasiowi, w tym czasie bowiem przystąpiono już do odbudowy stolicy. Na Pradze powstało Biuro Planowania i Odbudowy, przekształcone wkrótce w słynne – przez lata następne – BOS (Biuro Odbudowy Stolicy).

Kilka dni po wejściu do Warszawy wojsk sowieckich przybyła z Lublina grupa operacyjna pod przewodnictwem inż. arch. Józefa Sigalina, która po zobaczeniu stanu, w jakim znajdowała się Warszawa, złożyła przed Krajową Radą Narodową wstrząsający raport o wielkości zniszczeń, jakich doznało miasto. Trudno mi dziś ocenić, jaka była reakcja PKWN na raport inż. Sigalina. Przypominam sobie tylko opinie i plotki, jakie kursowały w tym czasie w środowisku architektów, w którym dominowała niepewność co do dalszego losu Warszawy. Mówiło się, że rząd lubelski chce przenieść stolicę do Łodzi, miasta o najsilniejszym środowisku robotniczym. Inna wersja głosiła, że Warszawa, a przynajmniej jej część najbardziej zniszczona (Stare Miasto), zostanie zachowana w formie ruiny, na wieczną pamiątkę hitlerowskiej zbrodni.

Faktem jest, że od samego początku, w chwili, gdy mostem pontonowym ciągnął do Warszawy tłum jej dawnych mieszkańców, rozpoczął się swoisty wyścig pomiędzy stanem faktycznym a rozporządzeniami władzy. Dekret o „stołecznym charakterze Warszawy” (niepotrzebny, bo rząd nie był władny odebrać jej roli stolicy) wydano wprawdzie w styczniu, ale „dekret o odbudowie” dopiero w maju tego roku. Ten ostatni nie przesądzał jeszcze o jej kształcie i nie poświęcał uwagi zabytkom przeszłości. W styczniu niektóre urzędy centralne zaczęły działać na Pradze, inne instalowano w Łodzi, ale wkrótce już „vox populi” miał zdecydować inaczej.

Od pierwszych dni wejścia wojsk sowieckich na teren zburzonej Warszawy płynął do niej nieustający strumień warszawiaków z tobołkami na plecach, okutych w chustki, ponieważ mróz był tęgi. Ludzie wracali. Zapalali świece na grobach prowizorycznie pochowanych warszawiaków. Powracający lokowali się, jak kto mógł – w nielicznych, częściowo ocalałych domach, ryjąc jak krety wśród gruzów wąskie ścieżki do jakichś drzwi oderwanych od murów, do bram tajemniczo otwartych w ciemność, do schodów wiszących nad ruinami. To ci ludzie zdecydowali o odbudowie Stolicy. Będę zawsze dumna z tego, że należeliśmy do tych, którzy pierwsi przyszedli do Warszawy. Już w pierwszych miesiącach liczba jej mieszkańców wzrosła do 400 tys., co zmusiło władze do działania.

Po odgruzowaniu przez samych architektów ulicy Chocimskiej BOS wprowadziło się do na wół spalonego domu na ulicy Skolimowskiej i rozpoczęło urzędowanie. Tam znalazł pracę mój mąż, który w gronie równie zapalonych jak on kolegów usuwał gruzy, ścigał deski na rajzbrety i rozpoczął pracę, z chwalebą datą 1 lutego 1945 (data na umowie). Wszystko tam było improwizacją, bohaterskim wyczynem w jeszcze nierozminowanym mieście, w otoczeniu domów-widm, mogących lada moment upaść im na głowę.

Zobaczyłam Warszawę po raz pierwszy po wojnie w mroźny dzień stycznia, kiedy przyszedłam z Włoch szlakiem dawnej, nieistniejącej już kolei. Ujrzałam wtedy obraz zburzonego miasta, wręcz nierealny, niespotykany, a z którym przecież tak szybko mieliśmy się oswoić. Wokół mnie, w okolicy dawnego skrzyżowania ulicy Towarowej i Alej Jerozolimskich, sterczały ze zwałów gruzu kikuty domów, ściany bez okien, bramy wiodące donikąd, wszystko to lekko przyprószone miłosierną warstwą cienkiego śniegu, leżącego gdziegdzie jak podarty nierówno całun. Spalone, nagie drzewa, cisza i pustka przerywana zaledwie od czasu do czasu odgłosem ludzkiego życia, jak chrobotem niewidzialnych zwierząt.

Trupy ludzkie nie leżały już na wierzchu, spoczywały pod cienką warstwą ziemi i śniegu, ale na środku Alej Jerozolimskich leżał trup konia, zamarzły z wyszczerzonymi zębami. Śnieg znaczyły gdziegdzie małe, czarne krzyżyki, przy nich zapalone świece – znak, że ktoś z bliskich wrócił, czuwa i pamięta.

Wróciliśmy i my ze Stasiem z gotowością do pracy, z nadzieją zbudowania własnego domu. Dzieci na razie pozostały we Włochach pod opieką Władków i rodziców.

Pierwszym mieszkaniem, jakie Staś znalazł w Warszawie, był lokal dwupokojowy, który zajmowaliśmy z kolegą Stasia, Mikołajem Kokozowem i jego żoną, w Alejach Jerozolimskich 89, na czwartym piętrze, w jednym z tych upiornych domów, w 80 proc. zniszczonych. Do kogo ono należało? Nikt o to nie pytał, nikt się o to nie troszczył. Ocalałe – nie wiadomo dłaczego – mieszkanie i przylegająca do niego klatka schodowa wisiały w próżni nad czarną wypaloną czeluścią. Gruz wyprzątnięty z pokoi rzucaliśmy beztrasko w przepaść pod nogami. Nad schodami rozciągało się styczniowe niebo, w mroźne noce usiane gwiazdami.

Mikołaj Kokozow, przystojny, milczący brunet, razem ze Stasiem pracował w BOS. W mieszkaniu nie było szyb, więc nasi panowie zabili okna dyktami. Nie było też oczywiście żadnego ogrzewania. Ustawiliśmy na środku pokoju wyszabrowaną wśród gruzów „kozę”, ale trudno było w niej rozpaścić, bo bardzo dymiała. Pamiętam piękną żonę Kokozowa, jak owinięta w grubą chustę i uwalana węglem po końce palców i klasycznego nosa, próbuje rozpaścić ogień. Jedynym oświetleniem były świece, ale i te pierwsze, prowizoryczne urządzenia wymagały wielkiej przedsiębiorczości. Tylko opału było pod dostatkiem – drzewa ze spalonych mebli, resztek węgla w otwartych piwnicach.

W tych pierwszych dniach nie było też w Warszawie nic do jedzenia. Obiad przynosiłam z Włoch w plecaku – jedyny gorący posiłek odgrzewany na dymiącej „kozie”. Wodę można było czerpać z pompy o kilka ulic dalej. W nocy dojmujące zimno przenikało przez kożuchy, którymi byliśmy okryci, śpiąc w ubraniu i czapkach na głowach. W tej sytuacji nie mogło być mowy o przywiezieniu dzieci do Warszawy. Ale wkrótce warunki naszego życia uległy radykalnej zmianie.

Biorąc Aleje Jerozolimskie za punkt wyjścia, zaczęłam robić coraz dalsze wyprawy, do domów znajomych mi przed wojną, których ogromna większość leżała w gruzach. W ten sposób trafiłam pewnego dnia na Kolonię Staszica, do willi moich przyjaciół, pp. Zielińskich. Z biciem serca weszłam do willi, która miała drzwi i oszklone okna. Z jaką radością witałam jej właścicieli. Ten pierwszy kontakt z przedwojennymi przyjaciółmi, w ich własnym

domu, prawie niezniszczonym, był dla mnie radosnym szokiem. Oni też zaraz nam zaproponowali mieszkanie w pokoju „chłopców”. Na dole pp. Zielińscy prowadzili dom noclegowy dla wracających z tułaczki mieszkańców Warszawy. W tym okresie zamieszkanie w pokoju u znajomych było dla nas sygnałem powrotu do normalniejszego trybu życia. Nadal jednak przeżywaliśmy ze Stasiem prawdziwą robinsonadę, straszną i romantyczną, podniecającą i pełną nadziei na lepsze jutro. Kto tego nie przeżył, ten nie zrozumie, jak ekscytujące jest obserwowanie budzącego się życia w mieście umarłym!

Ludzi napływało coraz więcej. Wkrótce pojawiły się przekupki. Siadały na ruinach i handlowały tym, co przyniosły z okolicznych wsi i miasteczek. Było to pieczywo, jajka i mleko, a niedługo po tym gorące potrawy, pyzy, kluski i bigosy. Na Koszykowej, róg Chałubińskiego, powstał punkt rozdawnictwa zupy. Ponieważ ludzie po zakupy przychodzili z dalekich krańców miasta, powstała samorzutnie miejska komunikacja – tzw. wozacy. Były to przeważnie chłopskie wózki zaprzężone w jednego konia, ale także wojskowe samochody. Do wozów wskakiwało się w biegu, a woźnice krzyczeli: „Za 20 złotych na Pragę”, „Za 10 złotych na Mokotów”.

Chyba już w lutym pojawił się na ul. Marszałkowskiej pierwszy bar w spalonym tramwaju, który w jakimś momencie Powstania zatrzymał się na tym miejscu i już dalej nie ruszył. Czy była to profanacja tych, co zginęli? Cała warszawska ziemia pod naszymi nogami była ziemią prochów, na której postanowiliśmy rozpalić światło życia. Jedliśmy gorące kiełbaski, stojąc przed tramwajem-trumną. Po kilku tygodniach bar na ulicy Marszałkowskiej był lepiej zaaprowizowany niż niejedna warszawska restauracja w późniejszych latach PRL, a sprzedawane w nim dania były tak tanie, że pomimo naszego ubóstwa mogliśmy sobie na nie pozwolić.

Bary, kawiarenki i prywatne sklepiki powstawały w następnych miesiącach jak grzyby po deszczu, a lokowały się w parterach domów przy ul. Marszałkowskiej, których wyższe piętra były spalone. W jednym z nich, na ul. Pięknej blisko rogu Marszałkowskiej, moje koleżanki – Plasterki – sprzedawały bigos i kołduny w stróżówce pałacu Okuńskich.

Staś dostał zaliczkę na poczet lutowej pensji w BOS. Wynagrodzenie miesięczne wynosiło 3000 starych złotych. Utrzymanie czteroosobowej rodziny za tę sumę byłoby niemożliwe, gdyby nie sprowadzenie do minimum naszych potrzeb. Pieniądze wydawało się tylko na jedzenie, a ono było tanie. Nie było jeszcze świadczeń na rzecz miasta, bo nie było światła, gazu i wody. Nikt nie pobierał komornego. Po wodę chodziło się z kubłami do najbliższej pompy. Opał był za darmo. Jeśli chodzi o jedzenie, to wkrótce pojawiła się darmowa pomoc amerykańska w postaci przydziałów z UNRRA. Do dziś pamiętam olbrzymią puszkę świetnej margaryny. Była też mąka, ryż i cukier.

Staś codziennie rano chodził na skos przez Pole Mokotowskie do BOS. W oddanym nam przez pp. Zielińskich pokoju stał tapczan, stara wysłużona kanapa (na której leżąc po raz pierwszy przeczytałam *Noce i dnie* Dąbrowskiej, niezapomniane chwile!). Był też stół i nieodzowna „koza”, w której wesoło buzował ogień. O węgiel trzeba było się postarać. W związku z tym pamiętam zabawną historię. Ze Stasiem i p. Rutkowskim, miłym starszym panem, który też mieszkał u pp. Zielińskich, znaleźliśmy zapas węgla w na pół zawalonej piwnicy na ulicy Filtrowej. Pojęcie cudzej własności nie było bardzo wyczulone w tej dzikiej, powojennej Warszawie. Bez cienia wyrzutów sumienia postanowiliśmy węgiel wyszabrować, ale jedynym dojściem do piwnicy było zakratowane okienko. Byłam wtedy bardzo szczupła i tylko ja mogłam się przedostać przez kraty. Stałam na górze węgla i wrzucałam kawały do wiader trzymanych przez obu panów. Ale gdy przyszło mi wrócić tą samą drogą, okazało się, że w za-

den sposób nie mogę przesunąć głowy. Przykra sytuacja, zostać w piwnicy prawdopodobnie ze szcurami, aż do odwalenia gruzów lub wypłowania kraty. Po wielu rozpaczliwych próbach znalazłam jednak właściwy kąt, pod którym przeszła głowa, a za nią ramiona i reszta ciała. Ale najadłam się strachu! Więcej niż przy bombardowaniu.

Dzieci sprowadziliśmy 4 marca, w dzień imienin babci Kazi obchodzonych przez nas we Włochach, w rodzinnym gronie. Była już z nami babcia Wanda Jawornicka, wyrzucona z „drugich” Szelig, z ukochanym starym wyżłem.

Przejazd do Warszawy z dwojgiem małych dzieci nie był rzeczą łatwą. Wsadzaliśmy je do dzieciennego wózka, przenosząc na ramionach w bardziej niebezpiecznych miejscach, na przykład nad zerwanymi torami. Było bardzo zimno i po długiej drodze dobrnęliśmy na Prokuratorzką półżwi. Pani Walinka dała dzieciom gorącego mleka, a nam herbaty. Co za rozkosz! Poczuliśmy się w domu! Gdy zapadł mrok, zapaliliśmy małe naftowe lampki, takie jak przed wojną w Kruchowie służyły do oświetlania obory.

Dzieci budziły sensację, gdy na drugi dzień wyjechałam z nimi na ulicę. Były jednymi z pierwszych dzieci w Warszawie. Ich widok rodził w sercach otuchę i nadzieję na lepsze jutro. Odtąd rozpoczęło się dla mnie żmudne zdobywanie dla nich jedzenia, a w szczególności mleka, którego wciąż w Warszawie było za mało. Tak przeżyliśmy wiosnę 1945 r., zbyt zajęci naszym pionierskim życiem, zbyt szczęśliwi, że udało nam się przeżyć, aby myśleć o tym, co nas czeka dalej.

17 marca został wydany akt prawny o rozminowaniu miasta. Min i niewypałów było wszędzie jeszcze pełno. Grupy inwentaryzacyjne BOS, którymi Staś kierował, po bohaterku pełniły swoje zadania – spisywanie strat i tego, co pozostało z historycznej zabudowy w Warszawie. Na Starym Mieście straty sięgały 90 proc. Odgruzowywanie tego rejonu, gdzie gruzy leżały do wysokości pierwszego piętra, a wypalone ściany domów groziły w każdej chwili zawaleniem, stanowiło nieustające niebezpieczeństwo utraty życia dla robotników i architektów, którzy z zapalem i świadomym brakiem wyobraźni podjęli się tej pracy. Pamiętam opowiadanie Waclawa Tokarza (inż. arch.), jak to dziewczyny, świeżo „skończone” architektki, wspinały się na dach Teatru Wielkiego, mając na nogach drewniane chodaki. Trzeba bowiem pamiętać, że ci, co byli teraz zaangażowani w odbudowę Warszawy, byli w większości ludźmi wypędzonymi z niej przed paru miesiącami i nie mieli nic – ani pieniędzy, ani odpowiednich ubrań, chroniących ich przed zimnem i deszczem. Nie mogę dziś pojąć, jak to się stało, że w tym czasie nie bałam się o Stasia. Oczywiście, byłam niespokojna, gdy późno wieczorem wracał z pracy – nie było wówczas telefonu, żeby uprzedzić o spóźnieniu. Tak, czy inaczej, lęk o Stasia nie zatruwał mi wtedy życia – to przyszło później, z powodu stanu jego zdrowia. Myślę, że w latach 1945–1950 miłosierny Bóg sparaliżował na jakiś czas moją wyobraźnię.

Na wezwanie dwóch młodych wówczas architektów – prof. Jana Zachwatowicza i dr. Piotra Biegańskiego – zgłosiło się do Wydziału Architektury Zabytkowej w BOS wielu młodszych od nich o kilka lat architektów, którzy studia ukończyli przed samym wybuchem wojny lub w tajnej Politechnice Warszawskiej, w czasie okupacji. Byli to koledzy Stasia ze studiów, przeważnie trzydziestolatkowie lub o kilka lat od niego młodszy. Wszyscy oni byli pełni energii i zapału, szczęśliwi, że przeżyli koszmar wojny, gotowi budować nowe powojenne życie wśród największych nawet trudności i za cenę wielu wyrzeczeń. Ci, co nie myśleli tak jak oni, nie powrócili do Warszawy w 1945 r., gdy życie było bardzo trudne i niebezpieczne.

Wkrótce zaczęliśmy bywać na różnych zebraniach towarzyskich, na których nikt nie dbał ani o strój, ani o jedzenie, bo nikt niczego nie posiadał. Lubiłam to sympatyczne, BOS-owskie towarzystwo. Była wśród nich panna Marzenka Referowska, ideał mojego męża z lat młodości, koledzy i przyjaciele Stasia: błyskotliwie inteligentny Janek Maass, przystojny blondyn Jerzy Staniszkis, młode uroczne małżeństwo Danusia i Andrzej Strachoccy, owiana legendą Powstania, Zosia i Jacek Hydzikowie, dowcipna, zawsze roześmiana Zosia Czeczott-Krotkiewska, sympatyczna blondynka Krysia Kognowicka, szczupły jak szparag Jaś Laube. Byli też koledzy ze studiów Stasia: Waław Tokarz, uchodzący za łamacza serc niewieścich, dynamiczny Jacek Bogusławski, spokojny i zrównoważony Stefan Krasieński, mały Janek Grudziński i inni. Przeważali nad tym gronem młodych nieco starsi – Jan Bieńkowski o szczupłej, charakterystycznej twarzy i dobrotliwie uśmiechnięty Waław Podlewski. Z tym ostatnim związała Stasia szczególnie silna nić sympatii. Kilka lat współpracowali na Starym Mieście, ale zasługi tego wybitnego znawcy zabytków zostały z biegiem lat zupełnie zapomniane. Umarł w końcu lat sześćdziesiątych, w zakładzie opieki społecznej, przez wszystkich opuszczony.

Dziś, po pięćdziesięciu latach, mogę powiedzieć, że o tych ludziach, którzy ofiarną pracą związali się od początku ze Starym Miastem, najmniej się pisze i mówi. Nie ma w tym nic dziwnego. Nikt z nich nie zrobił kariery w PRL, nikt nie był członkiem partii, nie współpracował z komunistami i nie miał zasług na tym polu. Dziś, kiedy nowe pokolenie tak łatwo potępia cały „okres PRL”, najwyższy czas, moim zdaniem, odrzucić plewy od ziarna i o tych ludziach z Wydziału Architektury Zabytkowej powiedzieć prawdę. Większość z nich umarła, inni są na skromnej emeryturze, a przecież to ci ludzie, z których część wymieniłam, wzniesli to miasto z gruzów, nadali mu taką a nie inną formę, oparli się tendencji do stawiania szeregu „pałaców kultury” na zabytkowych trasach. Ryzykowali co dzień zdrowie i życie; nie poszukiwali drogi do kariery, bo sprawa zabytków, pomimo kilku nieśmiałych wypowiedzi ze strony władz rządzących, nie leżała w interesie tych, którzy nami zarządzili.



Dwór w Kruchowie od strony jeziora, lata 30. XX wieku. Zbudowany w 1545 r., wielokrotnie przebudowywany, wpisany w latach 40. do rejestru zabytków. Widoczna sentencja NON DORMIT QUI CUSTODIAT (nie śpi, kto chroni) Zdjęcia z archiwum Aleksandry Żaryn